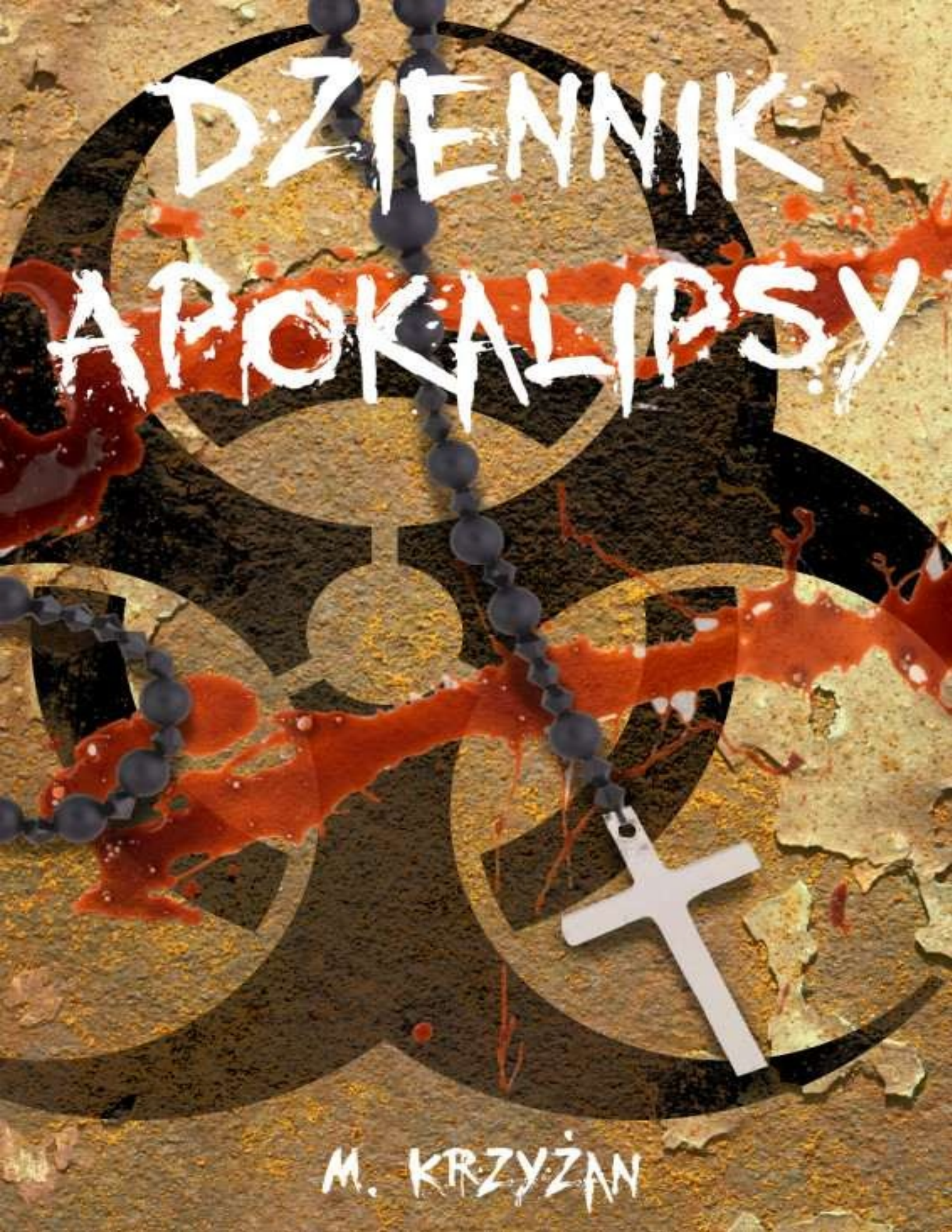


DZIENNIK APOKALIPSY



M. KRZYŻAN

Dziennik Apokalipsy

- [Dziennik Apokalipsy](#)
- [Midpoint](#)

Michał Krzyżan

Dziennik Apokalipsy

Copyright © Michał Krzyżan 2009

Projekt okładki: Michał Krzyżan

Dzień 1

14 października 2009 (śr)

Dzisiejszy poranek nie zapowiadał dnia w jakikolwiek sposób ciekawszego od wszystkich poprzednich. O tej porze roku słońce późno już wstaje, więc poranna modlitwa, śniadanie i ogólna krzątania odbyła się przy świetle elektrycznym. Nieco znudzony, udałem się, jak co dzień, do mojego kościoła, by odprawić poranne msze.

Wtedy pojawiła się pierwsza niespodzianka dnia. Z nieba zaczął prószyć pierwszy w tym roku śnieg. Silny wiatr przynosił jednak straszny mróz. Cieszyłem się, że postanowiłem założyć zimową kurtkę.

Msze przebiegły bez żadnych zakłóceń, jak zawsze. Nie mogłem jednak nie zauważyć, że pojawiło się na niej o przynajmniej połowę mniej wiernych, niż zwykle. Nie zdziwiło mnie to jednak. Pogoda była tak straszna, że nawet mnie nie chciało się iść po mszach do szkoły.

Ciepły budynek liceum ogólnokształcącego im. Strusia Pędziwiatra był tego dnia bardzo przytulnym miejscem. I, o dziwo, bardzo cichym. Bardzo pokaźna liczba uczniów nie przysłała dzisiaj na zajęcia z powodu chorób. Także ich brak nie wzbudził mojego zdziwienia. Działo się tak co roku, gdy przychodziły pierwsze mrozy.

Zaniepokoiła mnie jednakże inna wieść. Pani Halinka, nauczycielka fizyki, która zawsze jest na bieżąco z najnowszymi wiadomościami opowiadała na długiej przerwie reszcie nauczycieli (w tym mnie) o okropnościach, które działy się tej nocy w centrum. Policja zatrzymała bowiem kilku morderców, którzy zabili pokaźną liczbę osób z zimną krwią i w bardzo brutalny sposób. Pani Halina utrzymywała, że jeden z nich rozłupał głowy trzech ofiar przy pomocy siekiery!

Do rozmowy wtrąciła się natchniona katastroficznym nastrojem pani Ewa, szkolna pielęgniarka. Opowiadała o przepełnionych szpitalach, do których napływali coraz to nowsi pacjenci z jakąś nieznaną chorobą. Gdy stwierdziła, że czeka nas ciężka epidemia, zaproponowałem, że może to tylko fala przeziębień, tak częstych o tej porze roku. Pielęgniarka zakończyła temat jedynie tajemniczym „nie wiadomo”.

Po skończeniu lekcji udałem się do parafii, by przygotować się do popołudniowych mszy. Byłem pogrążony w różnorodnych myślach dotyczących

ostatnich wypadków, gdy usłyszałem tak dawno nie słyszany głos wołający „Staszek?!”. Odwróciłem się, by zobaczyć Dawida, mojego najlepszego przyjaciela z liceum, z którym straciłem kontakt zaraz po wstąpieniu do seminarium. Nic się nie zmienił: miał długie ciemnobrązowe włosy i zaniedbaną bródkę a ubrany był w skórzaną kurtkę z wieloma naszywkami różnych zespołów metalowych. Nie zmienił się także jego sposób mówienia. Jego głos drżał, jakby w podnieceniu, sprawiając, że brzmiał bardzo chaotycznie.

Rozpoczęła się długa rozmowa, podczas której próbowaliśmy streścić kilka lat naszego życia. Na zawiadanie postawione przez niego pytanie „Ile niewiernych dusz do tej pory nawróciłeś” rozpocząłem długą przemowę o tym, jakie monotonne w rzeczywistości jest życie księdza, wylewając z siebie niechcący cały żal, jaki ostatnimi czasy się we mnie zbierał. Dawid zaśmiał się tylko.

- Mam propozycję – powiedział. – Przez następny miesiąc prowadź dziennik i potem go przeczytaj. Zobaczysz, że nie jest tak źle.

Tak właśnie powstał pomysł, by rozpocząć pisanie tego pamiętnika. Obecnie dosłownie pożera mnie ciekawość, czy rzeczywiście miał rację i moje zdanie odmieni się po miesiącu. Jak do tej pory bardzo narzekałem na monotonię swojego życia.

Czas płynął jednak nieubłaganie i musiałem się rozstać z przyjacielem. Zostawiliśmy na sobie namiary i udałem się do siebie, by przygotować się do popołudniowych obrzędów. Także na tych mszach było niewielu wiernych. Co się dziwić, choroba nie wybiera...

Wieczorem udałem się do sklepu, by zakupić kilka rzeczy na jutrzejsze śniadanie. Było już ciemno, gdy przechodziłem przez park. W pewnym momencie dostrzegłem młodą dziewczynę szarpiącą się z mężczyzną ubranym w obdarte ubranie. Zawsze uważałem, że słowa są w stanie rozwiązać każdy konflikt, jednakże są sytuacje, gdy trzeba się posłużyć siłą. Po oderwaniu agresora od dziewczyny zacząłem przemowę o krzywdzeniu bliźnich, lecz ten po prostu się na mnie rzucił. Wnet pojąłem, jaki był jego problem. Nieprzytomny wyraz twarzy świadczył, że był on pod działaniem pokaźnej ilości alkoholu lub narkotyków i nic do niego nie docierało. Z rękoma sięgającymi do mojego gardła nie miałem innego wyjścia. Powaliłem mężczyznę na ziemię. Technika, której użyłem, w akompaniamencie z powiewającą w ślad moich ruchów sutanną musiała wywołać niemałe wrażenie, gdyż zgromadzeni naokoło gapiowie zaczęli mi bić brawo.

Na szczęście niedaleko przechodził patrol Policji. Funkcjonariusze przejęli ode mnie przestępcę, który w tym momencie wpadł w ogromny szal i pogryzł

policjantów aż do krwi. Zaprosili też mnie i dziewczynę na komisariat, byśmy złożyli zeznania. Gdy tam jechaliśmy, dziewczyna zaczęła mi dziękować. Była to młoda, bardzo urodziwa studentka. Miała długie włosy koloru rdzy, a największą uwagę przyciągały jej oczy. Jedno było bowiem ciemne, drugie jasnoniebieskie. Z rozmowy wynikało, że nazywa się Falaise i pochodzi z Francji. W Polsce studiuje zaś dziennikarstwo. Nie udało mi się jednak dowiedzieć, czy ma jakiegokolwiek polskie korzenie, faktem jednak było, że świetnie mówiła w naszym języku (w jej mowie można było wyczuć jedynie bardzo subtelny francuski akcent).

Formalności na komisariacie zajęły bardzo dużo czasu. Do domu wróciłem późnym wieczorem. Gdy zacząłem pisać pierwszy wpis w moim dzienniku, zacząłem dochodzić do wniosku, że jeśli przez następny miesiąc moje życie będzie wyglądać jak ten dzień, będę tęsknił za starym, monotonnym życiem księdza...

Dzień 2

15 października 2009 (cz)

Dzisiejszej nocy nie spałem za dobrze. Dręczyły mnie sny o panującej zarazie i ostatnich aktach agresji. Budziłem się kilka razy w nocy oblany zimnym potem. Ogólnie rzecz ujmując, nad ranem byłem bardzo niewyspany i nieświeży.

Zawsze uważałem, że sny są pewnego rodzaju przekazem od Boga. Uspakaja nas dzięki nim lub ostrzega. Niektórym wybrancom daje również poprzez nie wgląd w przyszłość. Moje dzisiejsze sny zdefiniowałem, jako rodzaj prośby. Pierwszą rzecz, którą zrobiłem rano, to pomodliłem się w intencji ofiar szalejącej zarazy.

Dzisiejsza pogoda była dużo przyjemniejsza od wczorajszej. Chłód nie był taki przejmujący a reszta śniegu topniała stopniowo przez cały dzień. Trochę podniosło mnie to na duchu, gdy szedłem do mojego kościoła. Poranne msze także odprawiłem w intencji chorych, lecz frekwencja wiernych znów opadła. Tym razem na kazaniach pojawiło się dosłownie kilka osób. Poczułem się bardzo zmartwiony i tym bardziej zainspirowany do wstawiania się za nieobecnych.

Według swoich codziennych obowiązków udałem się do szkoły na zajęcia. Wielkie było moje zdziwienie, gdy przemierzałem dosłownie puste korytarze gmachu. Gdy dotarłem do pokoju nauczycielskiego, szybko dowiedziałem się o powodzie takiego stanu rzeczy. Wielu uczniów było chorych, a reszty rodzice nie puścili do szkoły, by nie złapała tajemniczego wirusa. Mając więc trochę wolnego, niezaplanowanego czasu, zacząłem go spędzać z resztą nauczycieli. Telewizor w pokoju (zwykle wyłączony), ustawiony był teraz na wiadomości, które puszczone były zamiast regularnego programu. Sytuacja była dużo poważniejsza, niż mi się rano zdawało. Szpitale były przepełnione, a tej nocy zaczęły umierać pierwsze ofiary wirusa. Żeby pogorszyć sytuację, złe nastroje doprowadziły do buntów pacjentów i personelu. W niektórych szpitalach doszło do dosłownego oblężenia gmachów przez Policję. Rozgrywały się tam dramatyczne bitwy, podobno nawet z ofiarami śmiertelnymi. Tymczasem zwołane zostało specjalne posiedzenie Sejmu, na którym dyskutowano nad wprowadzeniem stanu wyjątkowego. Zapowiadano, że prezydent ma wygłosić w tej sprawie specjalne orędzie.

Tematem rozmów w pokoju nauczycielskim było głównie to, że najprawdopodobniej szkoła zostanie zamknięta z powodu epidemii. Tak mniej

więcej spędziłem całe przedpołudnie: słuchając złowieszczych wiadomości, pocieszając personel szkoły i modląc się za ofiary.

Wychodząc ze szkoły miałem niespodziewane spotkanie, gdyż u wyjścia czekał na mnie Dawid. Po jego minie od razu wiedziałem, że stało się coś strasznego. Miałem rację. Jego ukochana (Wiktoria), która pracowała w barze na nocną zmianę, musiała zostać zarażona nieznaną chorobą. Dostała nad ranem wysokiej gorączki i Dawid odwiózł ją do szpitala. Niedawno dowiedział się zaś, że szpital ten stał się jednym z pól bitwy. Biedak był tak zszokowany tą wiadomością, że przyszedł mnie prosić o podporę duchową. Mimo mojego szoku poczułem się dość dziwnie, że mimo braku kontaktu od kilku lat właśnie do mnie przyszedł po pomoc.

Bezzwłocznie udaliśmy się do wspomnianego szpitala. Droga tam zajęła jednak strasznie dużo czasu. Na przystanku staliśmy ponad godzinę, nim pojawił się jakikolwiek autobus. Podczas drogi słuchaliśmy radia kierowcy, za pomocą którego przekazane zostało orędzie prezydenta. Stało się to, czego się obawiałem: został wprowadzony stan wyjątkowy. Zamknięte zostały szkoły i inne budynki użytku publicznego, wprowadzona została godzina policyjna, zarządzono ograniczenia w ruchu ulicznym...

Do szpitala dotarliśmy z wielkimi problemami. Utknęliśmy w wielkim korku i ostatecznie dotarliśmy tam na piechotę. Jednakże chaosu, jaki tam panował, nie dało się przewidzieć. Zorganizowana przez wojsko blokada drogowa uniemożliwiała komukolwiek dostanie się do środka. Pod drzwiami gmachu stało kilka wojskowych ciężarówek, z których wyskakiwali akurat żołnierze w pełnym rynsztunku bojowym. Widząc to, byłem przerażony, choć nie tak bardzo, jak Dawid. Tak jak cała masa ludzi, chciał koniecznie dostać się do środka, by zobaczyć się z chorą. Nie było jednakże mowy, żeby przebić się przez zdesperowany tłum, tym bardziej, by ominąć blokadę. W końcu rozległy się głośne, niczym grom, wystrzały, które wzbudziły panikę. Ledwo udało nam się usunąć z drogi trującego tłumy.

Dawid był przerażony. Bardzo wyraźnie widział brak możliwości dostania się do ukochanej, co tym bardziej pogrążało go w rozpacz. Zaproponowałem mu pomodlenie się w jej intencji na mszy, którą miałem niedługo zaczynać, co normalnie skomentowane byłoby jego niepohamowanym śmiechem. W swoim zdruzgotanym umyśle zdawał sobie jednak sprawę, że tylko to mu pozostało. Wróciliśmy więc do naszej dzielnicy, gdzie pospieszyliśmy do kościoła. Tym razem na mszy pojawiło się naprawdę sporo osób, choć większości w ogóle wcześniej nie widziałem. Nie było to dziwne, sytuacja stała się tragiczna. Byłem

szczęśliwy, że w tak ciężkich chwilach ja, wysłannik boży, mogłem posłużyć jako podpora dla tych wszystkich zagubionych i przerażonych ludzi.

Chciałem spędzić więcej czasu z Dawidem, ale godzina policyjna mi na to nie pozwoliła. Nawet w naszej okolicy jeździły wojskowe patrole, które nie byłyby wyrozumiałe wobec nocnych włóczyków. Zaproponowałem przyjacielowi noc w parafii, lecz ten stwierdził skromnie, że i tak zabrał mi za dużo czasu i udał się do swojego mieszkania.

Wróciłem więc do parafii i zacząłem pisać mój dziennik w wielkiej obawie, co wydarzy się jutro.

Dzień 3

16 października 2009 (pt)

Dzisiejszej nocy także źle spałem. Obrazy wczorajszego chaosu nie dawały mi spokoju. Gdy się więc obudziłem, byłem w okropnym stanie. Po porannych czynnościach wyszedłem na zewnątrz i doznałem ciężkiego szoku. W przedporannych ciemnościach nad miastem unosiła się łuna ognia, a z kilku miejsc unosiły się słupy czarnego dymu. Zewsząd słychać było strzały z broni maszynowej. Miasto zamieniło się w wielkie pole bitwy, choć wtedy jeszcze nie wiedziałem kto z kim walczył.

Pod drzwiami kościoła zebrał się spanikowany tłum szukający schronienia. Czym prędzej otworzyłem im drzwi Domu Bożego i wpuściłem do środka. Niektórzy w swej panice próbowali mnie ostrzec, ale niewiele zrozumiałem z rzuconych chaotycznie haseł. Jedni mówili, że umarli wstali z grobów, inni, że wokół rozgrywa się istna bitwa (to akurat zdążyłem potwierdzić), ale większość mówiła, że ktoś z ich rodziny pożarł żywcem kogoś innego. Wtedy jeszcze te dantejskie sceny, zwłaszcza opowiedziane tak chaotycznie, nie miały dla mnie sensu. Udałem się więc przygotować mszę.

Nie wiedziałem jeszcze, co się działo, ale postanowiłem jakoś uspokoić tych nieszczęśników. Uznałem, że czytanie z Księgi Hioba podniesie ich trochę na duchu. Miałem rację, po porannych mszach zdawało się czuć jakby mniejszy strach w powietrzu. Biedacy byli jednak tak zastraszeni (czego im się wcale nie dziwiłem), że nie chcieli opuszczać kościoła, który stał się ich bezpiecznym sanktuarium. Pod koniec drugiej mszy zapewniłem ich, że mogą zostać tu jak długo tylko chcą. W końcu drzwi Domu Bożego zawsze stoją otworem dla potrzebujących.

Większość tych ludzi siedziała w milczeniu w ławkach, chcąc przeczekać złe chwile. Nim jednak udało mi się od kogokolwiek dowiedzieć, co się dzieje, w kościele pojawił się ksiądz proboszcz Dacjusz. Jest to stary, zmęczony życiem duchowny z mojej parafii, teoretycznie mój zwierzchnik. W praktyce jest on zupełnie nieprzydatny, miewa problemy z alkoholem i ma strasznie irytujący zwyczaj znikania bez słowa na kilka dni. Nigdy nie złożyłem na niego skargi, choć tym razem wytracił mnie z równowagi wracając ze swojej kilkudniowej eskapady w samym środku piekła i pytając, co się dzieje.

- Zapijaczony dziadzie!! – wrzasnałem. – Mamy kryzys na skalę kraju, a ty się

pytasz, co się dzieje?!

- Posłuchaj, młodzieńcze... – odparł bojowo Dacjusz, lecz mu przerwałem.

- Znikasz na kilka dni, kiedy ja mam na głowie całą parafię pełną ludzi potrzebujących pomocy! Bądź choć raz użyteczny i się nimi zajmij! Ja mam ważną sprawę do załatwienia!

Być może popełniłem duży błąd tym wybuchem, zwłaszcza, że słyszał mnie cały kościół. Nie panowałem jednak nad sobą, zwłaszcza że zmęczenie odbierało mi dar chłodnego patrzenia na sytuację. Zostawiłem go w kościele, wziąłem z zakrystii kurtkę i udałem się wprost do domu Dawida.

Dzień był chłodny, choć cieplejszy niż wczoraj. W cienkiej warstwie chmur pojawiały się co jakiś czas przejaśnienia. Krajobraz się ani odrobinę nie zmienił, poza tym, że zrobiło się jasno. Cały czas słychać było strzały a po ulicach jeździły w wariacki sposób pojazdy wojskowe. Próbowałem się dodzwonić do mojego przyjaciela, ale cały czas dostawałem informację, że „abonent jest poza zasięgiem”.

Dawid miał się jednak dobrze. Powitał mnie w drzwiach z kijem baseballowym w rękach twierdząc, że właśnie wychodził. W jego domu dostrzegłem telewizor, który przekazywał wiadomości na żywo. Panowały w nim obrazy chaosu i regularnych walk ulicznych w centrum. Zanim jednak się w nie wsłuchałem, Dawid wyłączył odbiornik. Mimo, że nalegał, żebym z nim nie szedł, dotrzymałem mu towarzystwa. Na piechotę udaliśmy się do centrum, gdyż chłopak uparł się, żeby zabrać stamtąd Wiktorię. Nie odwodziłem go od tego niebezpiecznego pomysłu, gdyż sam życzyłem jego ukochanej jak najlepiej.

Im bliżej centrum, tym większy panował chaos. Mijaliśmy czołgi, barykady, oddziały żołnierzy strzelających, jak mi się wtedy wydawało, w cywili. Ci jednak nie uciekali, tylko sunęli ku swojej zagładzie. Byłem przerażony, nie miałem pojęcia, co się dzieje. Dawid wspominał coś o ożywających trupach, ale dla mnie brzmiało to jak scenariusz taniego horroru. Ten jednak był o tym przekonany, zwłaszcza że od rana o tym mówili w wiadomościach. Nie mając lepszego wyjaśnienia, uznałem to za prawdę.

Koło szpitala panowała cisza, jak w oku cyklonu. Dawid wbiegł od razu do środka przez rozbitą szybę w drzwiach. Przez moją sutannę miałem kłopoty, by za nim nadążyć. W środku znajdowało się dużo osób, zarówno personelu, jak i pacjentów. Twarze wszystkich wyglądały, jakby dawno umarli, a mimo wszystko sunęli powoli ku memu przyjacielowi. Wtedy zaczęło powoli do mnie docierać, co się dzieje. Dawid biegł zaś naprzód, torując sobie drogę kijem.

- Nie można ot tak walić innych kijem, wiesz? – napomknąłem.

- Jak chcesz, możesz im powiedzieć, jak to nieładnie jest zagryzać innych na śmierć.

- Czekaj, zagryzać...?

Elementy układanki zaczęły się uzupełniać. My tymczasem dotarliśmy do pokoju Wiktorii. Był pusty. Dawid wpadł w tak głęboki szok, że z jego oczu popłynęły łzy. Chciałem mu dać chwilę dla siebie, ale nią nie dysponowaliśmy. Po korytarzu sunęło ku nam kilkanaście „żywych trupów”. Szarpnąłem przyjaciela za ramię, by zwrócić jego uwagę. Nie myśląc więcej, pobiegliśmy do windy i zjechaliśmy na parter. Zanim dotarliśmy do wyjścia, Dawid znów się zatrzymał. Dostrzegł ożywioną pacjentkę o ziemistej skórze, ubraną w różowy szlafrok. Wiktorię...

Nie wiem jak mi się to udało, ale siłą wyciągnąłem Dawida z tego zwariowanego miejsca. Nie odzywając się przemknęliśmy bocznymi alejkami przez pole bitwy i ku domu parafialnego. Gdy tam już dotarliśmy, nalałem Dawidowi kieliszek wódki na wzmocnienie nerwów (gdy Dacjusz pojawiał się w parafii, pojawiał się tam też jego alkohol) i włączyłem telewizor. Z wiadomości dowiedziałem się wszystkiego. Umarli rzeczywiście ożywali i z niewiadomych powodów atakowali żywych. Wojsko robiło, co tylko mogło, by powstrzymać tę plagę, lecz liczba umierających na tajemniczą chorobę rosła.

Nie mogłem tego dłużej oglądać, gdyż zbliżała się godzina popołudniowych mszy. Nie chciałem, by Dacjusz je prowadził, gdyż ten stary głupiec mógł powiedzieć coś bardzo niewłaściwego. Zdziwiłem się zaś, gdy się dowiedziałem, że przez cały czas był w kościele, z potrzebującymi. Podczas tego kazania także wybrałem fragment Księgi Hioba, gdyż najbardziej pasował do sytuacji. Po obrzędach zdałem sobie sprawę, że tych wszystkich nieszczęśników trzeba będzie przenocować. Przynieśliśmy z parafii tyle materacy, ile znaleźliśmy (postanowiłem, że najbezpieczniej będzie przenocować wszystkich w jednym miejscu, w razie ataku umarłych). Poczęstowaliśmy też wiernych całym jedzeniem, jakie mieliśmy, choć nie starczyło go dla wszystkich. Zdziwiło mnie, jak szybko ta przypadkowa masa ludzi zorganizowała się w grupę i wspólnie postanowiła, że jedzenie dostaną kobiety i dzieci oraz że także dzieciom przypadną znalezione materace.

Dzisiejszej nocy znów nie zaznam snu, gdyż mam zamiar cały czas czuwać. Biedny Dawid, tak samo jak wielu innych pokrzywdzonych, siedział w ławce i

cały czas wpatrywał się w pustą przestrzeń. Zanim jednak udało mi się z nim porozmawiać, poszedł spać (choć pewnie on także nie zmruży oka).

Dzień 4

17 października 2009 (so)

To była długa noc. Spędziłem ją głównie na rozmyślaniach o poprzednim dniu. Z początku mój umysł nie chciał zaakceptować strasznych scen, jakie przeżyłem i zaczęło mi się w pewnym momencie nawet wydawać, że to wszystko jest wytworem mojej wyobraźni. Patrzyłem wtedy jednak na tłum uchodźców śpiący w moim kościele i umysł musiał pracować nad problemem „żywych trupów” na nowo. Udało mi się także porozmawiać z kilkoma ludźmi, którzy byli zbyt przestraszeni, by spać. Wszystkie historie były do siebie podobne. Któryś członek rodziny umarł na tajemniczą chorobę, poczym wracał jako „żywy trup” i atakował swoich domowników. Ludzie ci musieli obserwować, jak ich dzieci i ukochani byli rozrywani i pożerani żywcem. Były to straszne opowieści, ale wszystkie potwierdzały wielką żarłoczność zmartwychwstałych.

Tuż przed świtem zaproponowałem księdzu Dacjuszowi, by nie odprawiać mszy, nim wszyscy się nie obudzą. Bardzo niechętnie, ale się zgodził. Niedługo później kościół został oświetlony światłami hamującej przed nim wojskowej ciężarówki. Wyszedłem przybyszom na spotkanie i w kruchcie zobaczyłem coś, czego w ogóle się nie spodziewałem. Pani Halina, drobna, młoda blondynka, ubrana w biały płaszcz, trzymała w ręku karabin.

- Potrzebujemy pomocy! – krzyknęła na wstępie. – Mamy ранnego!
- Otworzę wam drzwi od zakrystii – zaproponowałem od razu.

Nie chciałem, by ktokolwiek widział ранnego, gdyż morale było niskie już teraz. Ранnym okazał się pan Paweł, nowy nauczyciel od języka angielskiego w szkole, w której uczyłem. Uzbrojona po zęby grupa składała się zaś z reszty szkolnego personelu: pani Haliny, pani Ewy i pana Czarka (wesoły, otyły nauczyciel matematyki). Jak się potem dowiedziałem, we czworo próbowali się przedostać do szkoły, by założyć tam fortecę przeciwko umarłym, ale zanim tam dotarli, pan Paweł został poważnie pogryziony w szyję.

Gdy ранny był w zakrystii, podałem pani Ewie środki opatrunkowe i ta powstrzymała krwawienie. Odetchnęliśmy z ulgą. W mojej głowie zaczął się zaś rodzić plan. W tej chwili w kościele były sześćdziesiąt trzy osoby, łącznie ze mną i potrzebowaliśmy dla wszystkich jedzenia. Grupa nauczycieli miała zaś możliwość przebicia się przez kilka dzielnic i je przywieźć. Gdy ich o to poprosiłem, zgodzili się i od razu ruszyli ku ciężarówce. Ta była wypełniona

bronią, więc zostawili wszystko w kościele i ruszyli.

- Broń w Domu Bożym?! – lamentował co chwilę Dacjusz, ale go nie słuchałem.

Bitwa w całym mieście wciąż trwała. Po huku poznałem, że zaczęto używać ciężkiej broni, w stylu czołgów. Nie myliłem się. Z telewizji dowiedziałem się, że wojsko dostało pozwolenie na zastosowanie wszelkich środków, by zwalczyć inwazję umarłych.

Musiałem się przygotować do mszy. Moja sutanna było porwana w paru miejscach po wczorajszej wycieczce do szpitala. Wyskoczyłem więc do domu parafialnego, by się przebrać, umyć i ogolić.

Po porannej mszy sprawy zaczęły się coraz gorzej układać. Uchodźcy zaczęli narzekać na głód, pan Piotr dostał gorączki a wysłani po prowiant nauczyciele nie wracali. Wkrótce wróciła pani Halina, ale wieści, które przyniosła były tragiczne. Właściciel sklepu nie tylko odmówił sprzedania jedzenia, ale wziął też pozostałą dwójkę na zakładników i zażądał, byśmy oddali mu wszelką broń, jaką mamy. Postanowiłem zająć się tym osobiście. Wziąłem też ze sobą Dawida, gdyż zrobienie czegoś dobrego na pewno podniosłoby go na duchu. Wrzuciłem kilka karabinów na tył ciężarówki, po czym wręczyłem jeden Dawidowi.

- A co się stało z nastawianiem drugiego policzka? – zażartował.

- Ty nie miałeś święceń, nie musisz – odparłem.

Pojechaliśmy do sklepu i stanęliśmy przed drzwiami. Przed nami stanął gruby mężczyzna uzbrojony w łopatę. Wyraz jego twarzy mówił wyraźnie, że nie spodziewał się zobaczyć księdza. Zacząłem przemowę od stwierdzenia, jak przykro mi jest, że zapanowała tak niezręczna sytuacja. Rzekłem następnie, że epidemia zaskoczyła wszystkich na równi i że wszyscy mamy przez to kłopoty. Zaoferowałem, że jeśli zaopatrzy nas w potrzebną żywność (to był jeden z większych sklepów w okolicy), my użyczymy mu tyle broni, ile potrzebuje. Zbity z tropu mężczyzna zgodził się i wkrótce mieliśmy ciężarówkę pełną pożywienia. Na szczęście nie spotkaliśmy po drodze żadnego nieumarłego, więc mieliśmy dużo szczęścia.

Popołudnie było spokojne, poza biednym panem Piotrem, którego stan się ciągle pogarszał (temperatura 39.2°C). Pani Ewa stwierdziła, że bez przeniesienia go do szpitala, biedak nie ma szans. Z drugiej strony, dodała, nie ma już żadnych szpitali, więc możemy zacząć mu kopać grób. Zajął się następnie kilkoma ocalałymi, którzy złapali w nocy przeziębienie.

Wieczorem skończyło się nasze szczęście. Usłyszeliśmy z zewnątrz kobiecy

krzyk. Gdy wybiegliśmy na podwórko, zobaczyliśmy nieumarłego atakującego jedną z ocalałych, która wracała z toalety w domu parafialnym. Ruszyliśmy jej na ratunek. Pan Czarek odrzucił ożywieńca a Dawid zaczął do niego strzelać stawiając cały kościół na nogi. Ten jednak cały czas niezgrabnie podchodził, póki pocisk nie przeszył jego głowy. Gdy zrobiło się cicho (poza odgłosami bitwy, rzecz jasna), nasze oddechy były głębokie i nierówne. Pani Ewa czym prędzej zabrała ranną do zakrystii. Ja z kolei próbowałem delikatnie przekazać przyjacielowi, jak bardzo zbezczęścił świętą ziemię.

- Posłuchaj – rzekł do mnie Dawid. – Te stwory tu przyjdą, by wszystkich pożreć! One nie zwracają uwagi, czy to Dom Boży, czy nie! Musimy uniknąć takich przypadków, jak teraz! Musimy zamknąć bramę i wrota oraz wystawić warty, rozumiesz?

Przyznałem mu rację. Może to była świątynia, ale ożywieńcy nie zdawali się mieć jakichkolwiek powściągliwości przed czymkolwiek. Zaproponowałem, że stanę na warcie, ale Dawid mnie zatrzymał.

- Kiedy ty ostatni raz spałeś? – zapytał widząc mój stan.

- Parę dni temu... – odparłem nonszalancko.

- Marsz do łóżka! – rozkazał przyjaciel. – Wartami zajmę się ja.

Nie chciałem się do tego przyznawać, ale byłem mu bardzo wdzięczny, że wziął na siebie ten obowiązek. Postanowiłem napisać tylko wpis w dzienniku i położyć się spać na jednej z ław.

Dzień 5

18 października 2009 (nd)

Kilka godzin głębokiego, uspokajającego snu było dokładnie tym, czego mi było trzeba. Zacząłem na nowo chłodno i logicznie patrzeć na sytuację. To był piąty dzień, odkąd pojawiły się pierwsze oznaki epidemii, trzeci, odkąd zaczęliśmy się chować w naszym kościele. Zachowując racjonowanie żywności, mogliśmy siedzieć tu zamknięci jeszcze przez tydzień. Zdałem też sobie sprawę, że wczoraj, zajęty potrzebującymi i zmęczony, nie znalazłem dużo czasu na modlitwę. Poważny błąd, trzeba było koniecznie podziękować Bogu, że tak długo żyjemy.

Na modlitwie skończył się dobry, poranny nastrój. Postanowiłem zajrzeć do zakrystii i sprawdzić, jak się mają chorzy. Gdy tylko otworzyłem drzwi, doznałem ciężkiego szoku. Pan Paweł, wczoraj jeszcze poważnie chory, teraz wyżerał wnętrzności drugiej rannej. Okropny smród krwi, leżące wszędzie kawałki mięsa i puste spojrzenie ożywionego nauczyciela sprawiło, że zwymiotowałem po pierwszym spojrzeniu na scenę. Nie do końca wiem, co się stało potem. Udało mi się zapamiętać, że pan Piotr rzucił się na mnie, po czym padło kilka strzałów. Następne, co zarejestrowałem, to że leżałem na ławce dochodząc do siebie, kilku wiernych sprzątało okropny bałagan, matki próbowały uciszyć przestraszone dzieci a Dacjusz wymyślał Ewie od najgorszych za to, że nie opiekowała się chorymi i do tego doszło.

Gdy oprzytomniałem stwierdziłem, że muszę koniecznie zażyć świeżego powietrza. Wychodząc nie mogłem nie zauważyć dziwnych wzroków wiernych. Po drodze na zewnątrz dowiedziałem się też od mężczyzny pilnującego wejścia, że Dawid zaczął niedawno wartę na wieży kościelnej. W ogóle kościół zmienił się przez noc nie do poznania. Przy każdym wejściu stało po dwóch uzbrojonych strażników sprawiając, że wyglądał on bardziej jak forteca, niż świątynia. Gdy wyszedłem w mroki wczesnego poranka, pogoda była deszczowa. Zauważyłem, że pod płotem leżało kilka zwłok, zapewne ożywieńców. Wtedy dotarło do mnie, że rzeczywiście prowadzimy bezpardonową walkę o przetrwanie z żywymi trupami. Walkę, w której nie było miejsca na religię i ciepłe słowa. Dlaczego się w tamtej chwili nie poddałem i nie załamałem, nie wiem. Jakiś głosik z tyłu głowy podpowiadał mi ciągle, że ci ludzie mnie potrzebują i samo to uczucie popychało mnie do przodu.

Zrobiłem dwie kawy i udałem się na wieżę. Siedział tam Dawid z karabinem snajperskim w ręku. Przywitaliśmy się i porozmawialiśmy chwilę o chłodzie tego poranka.

- Zauważyłeś? – zapytał nagle. – Bitwa się skończyła. Nie słychać już strzałów.

Rzeczywiście, wokół panowała grobowa cisza. W centrum wciąż paliło się kilka budynków, ale wydawało się, że ożywieni wygrali tę bitwę. Nagle dostrześliśmy kilka postaci biegnących ulicą. Byli z pewnością żywi. Zaraz za nimi sunęło kilkunastu ożywionych. Dawid od razu przystawił karabin do ramienia i zastrzelił pierwszego żywego trupa. Musiałem przyznać, że robił to z niespotykaną pasją i niezwykłą precyzją. Było w tym coś złego.

Obserwowałem scenę przez wojskową lornetkę, którą Dawid miał przy sobie. Uciekinierzy byli zdezorientowani, przez co pościg zbliżał się do nich.

- Szybko, daj mi karabin! – krzyknąłem nagle.

Dawid był niezwykle zdziwiony tą prośbą, więc po prostu wyrwałem mu broń z rąk. Uderzyłem z całej siły kolbą w dzwon zwracając uwagę uciekających. Oddałem przyjacielowi karabin i kazałem osłaniać tamtych. Zbiegłem następnie na dół, otworzyłem furtkę i wpuściłem ich do środka. Zdziwiłem się, gdyż jedną z nich znałem. Była to Falaise, dziewczyna, której pomogłem kilka dni temu. Pozostała dwójka to ubrana na czarno Galadriela (nigdy nie posługiwała się swoim prawdziwym imieniem) i ich wysoki i dobrze zbudowany kolega, Bartek. Dowiedziałem się, że bronili się w domu Falaise przez dwa dni, po czym potwory zmusiły ich do nocnej ucieczki. Możliwe, że nie przeżyliby tego dnia, gdybyśmy ich nie zauważyli.

Dzień upływał spokojnie. Z telewizji dowiedziałem się, że resztki wojska z naszego miasta zostały ewakuowane oraz że epidemia powoli rozprzestrzenia się na cały kraj. Ponadto pojawiły się jej ogniska w zachodniej Europie i tam też rozpoczyna się walka. Nie oglądałem zbyt długo, gdyż było sporo do zrobienia. Ewa poprosiła o pozwolenie na spalenie wszystkich zwłok. Udzieliłem jej, gdyż zdawałem sobie sprawę z chorób, które mogły się dzięki ich obecności rozprzestrzenić. Pozwoliłem użyć do tego celu benzyny z zapasowego kanistra w ciężarówce, byle oszczędnie. Nie wiadomo, kiedy będzie potrzebna do, na przykład, ucieczki.

Podczas usuwania zwłok ja zająłem się spisem ocalałych. Mieliśmy w sumie sześćdziesiąt cztery osoby (trzydziestu mężczyzn i trzydzieści cztery kobiety (panią Kleopatę, która jest w ciąży, policzyłem jako jedną)), w tym ósemkę

dzieci (troje kilkuletnich i piątkę nastolatków), troje wegetarianów, dziesięcioro z jakimiś uczuleniami, troje na tyle starych, by mieć problemy z poruszaniem się i jednego cierpiącego na klaustrofobię. No i były dwa psy. Dacjusz narzekał na nie, jak tylko mógł, ale prawdą było, że podnosiły one morale i to bardzo.

Wczesnym popołudniem zgasł prąd. Nagłe zaciemnienie wywołało wręcz panikę. Niektórzy schowali się w swoich ławkach, inni rzucili do wyjścia. Zagroziłem im drogę, co na szczęście ich powstrzymało. Rzekłem, że kościół jest jedynym bezpiecznym miejscem, że tam nie czeka na nich nic, poza hordami nieumarłych. Większość się trochę uspokoiła. Jedynie pan Marek, chudy mężczyzna w okularach, nie chciał się dać przekonać. W swej wściekłości przyparł mnie do ściany. Dawid od razu wycelował do niego z karabinu, ale kazałem mu opuścić broń.

- Jeśli wybiegniesz na oślep, nawet Bóg cię nie uchroni przed tymi bestiami – rzekłem.

- Gdzie był ten twój Bóg, gdy to wszystko się zaczęło? – zezłościł się Marek. – Gdzie był Bóg, gdy moja żona pożarła na moich oczach nasze kochane dzieci?! A teraz chcesz, żebym siedział w świątyni tego złośliwego skurwiela?!

- Rozumiem twoją frustrację – odpowiedziałem. – Wszyscy tutaj cierpimy z powodu epidemii. Nie chcę się zapuszczać w dyskusje, czy wywołał ją Bóg, człowiek czy wirus. Ale Bóg nas na pewno ochrania, inaczej byśmy już nie żyli. Nie psujemy jego planów rzucając się bezmyślnie pod zęby nieumarłych.

- Więc lepiej czekać na śmierć tutaj?

- Chronią nas grube ściany i potężne wrota. Jeśli miłość Pana ci nie wystarczy, to to na pewno ci uświadomi, w jak bezpiecznym miejscu się znalazłeś. Nie wiem, jak długo musimy czekać na ratunek, ale lepiej to robić w miejscu bezpiecznym, a ten kościół przez ostatnią dobę zamienił się w prawdziwą fortecę.

Tą wypowiedzią udało mi się go i zgromadzonych słuchaczy udobruchać. Tylko jak długo będziemy musieli tu jeszcze koczować? Tydzień, miesiąc, rok? Nie wiadomo, kiedy i czy w ogóle pojawi się jakaś pomoc. Zaczęło do mnie docierać, że siedzenie tutaj i po prostu czekanie nie zda egzaminu. Musimy się jakoś urządzić, nie licząc na pomoc z zewnątrz.

Tego popołudnia ksiądz Dacjusz poczuł się w obowiązku odprawić niedzielną mszę. Zdziwiło mnie niezmiernie jak ten stary nieudacznik potrafił pięknie przemówić. Z jego mowy, jego ruchów bił tak wielki spokój, że udzielił się każdemu obecnemu na sali, nawet mnie. Dzisiejszego wieczoru położyliśmy się

spać uspokojeni, ale wiedziałem, że to nie będzie trwać wiecznie. Niewygodą i brak zajęcia potęgowały rosnącą frustrację wśród wiernych i samo uspakajanie ich, że „jakoś to będzie” wkrótce przestanie działać... Bo nie będzie „jakoś”, jeśli będziemy, pozwolę sobie zacytować pana Marka, „czekać tutaj na śmierć”.

Dzień 6

19 października 2009 (pn)

Z kojącego snu wyrwał mnie odgłos strzału. Wstałem niechętnie wyziębiony i z bolącym gardłem. W kościele było bardzo zimno, gdyż całkowicie padło ogrzewanie. Udałem się na wieżę, by zbadać sytuację. Poranek był bardzo mglisty i ledwo było widać ulicę, na której leżała pokaźna liczba nieumarłych. W dzwonnicy znajdował się zaś Dawid ze swoim karabinem. Gdy na mnie spojrzał, dostrzegłem na jego twarzy ślady łez i wiedziałem już, o czym właśnie myślał. Nie potrafiłem jednak znaleźć odpowiednich słów. Rana po stracie Wiktorii była wciąż zbyt świeża.

Przez noc urodził mi się w głowie pewien plan i musiałem go przedyskutować z przyjacielem. Planowałem bowiem przenieść wiernych w inne miejsce, gdyż po przemyśleniu sprawy, kościół był śmiertelną pułapką. Łatwo go było bronić, to prawda, ale miał mnóstwo wad gdzie indziej. Po pierwsze, był duży. Ogrzanie go na własną rękę byłoby niemożliwe, co zakończyłoby się mnóstwem chorób. Po drugie, od czterech dni wierni siedzą tylko i czekają na nie wiadomo co. Znudzenie, zwłaszcza u dzieci, prowadziło do chęci rozrywki, której tu nie ma. Skończyłoby się na tym, że albo pozabijalibyśmy się z rozdrażnienia, albo zrobili coś głupiego i dali się zjeść nieumarłym. Przyszło mi nawet do głowy jedno miejsce.

Dziś w nocy straciliśmy bieżącą wodę, więc musieliśmy polegać tylko na butelkowanej, której mieliśmy za mało. Gazu także nie było, więc moje marzenia o gorącej herbacie poszły w zapomnienie. Ewa zbadała kilku wiernych i przedstawiła mi złowieszczy raport. Ponad połowa miała lekkie przeziębienie a dwoje z nich dorobiło się zapalenia płuc. Jeśli szybko nie przeniesiemy się do cieplejszego miejsca, ta liczba będzie rosła a bez lekarstw (w tym antybiotyków) Ewa nie miała jak ich leczyć.

Gdy koło południa mgły zaczęły opadać, zorganizowałem patrol. Wziąłem ze sobą Dawida, Ewę i Falaise, która bardzo chciała się odwdziżyć za uratowanie jej życia. Moi towarzysze wzięli broń i ruszyliśmy ciężarówką. Pierwszym przystankiem była apteka. Było to miejsce opuszczone i strasznie ciche. Ewa i Dawid rozbili szybę w drzwiach przy pomocy ławki i pielęgniarka zaczęła szukać potrzebnych leków a ja pomagałem jej je znajdować. Czułem się bardzo niekomfortowo, miałem wrażenie, że okradam właściciela. Po wyjaśnieniu

swoich obaw, Ewa stwierdziła, że skoro kierownik już dawno nie żyje, to leki te nie mają żadnego właściciela. Nie uspokoiło mnie to jednak. Z zewnątrz zaczęły padać strzały. Nasze włamanie zwróciło uwagę kilku nieumarłych a ich zabicie z pewnością przyciągnie ich więcej. Nie mieliśmy więc dużo czasu.

Wyszliśmy z apteki w ostatnim momencie. Z obu stron, po ulicy, szły wielkie fale nieumarłych, chcące się nami pożywić. Wbiegliśmy czym prędzej do ciężarówki (ja kierowałem, Dawid siedział koło mnie) i zaczęliśmy uciekać. Wymijanie ożywieńców było strasznie trudne i prawie wpadłem na latarnię.

- Co ty robisz?! – zezłościł się Dawid. – Prawie nas zabiłeś!!

- Nie mogę ich przecież rozjeżdżać! – przekrzyknąłem strzały dziewczyn z tyłu.

- To są zombie! One już nie żyją!

- Mógłbyś ich tak nie nazywać?! – poprosiłem wrzucając wsteczny. – To obraza ich pamięci. To są ciała ludzi, którzy umarli w strasznych męczarniach.

Visit: <http://www.smashwords.com/books/view/715718> to purchase this book to continue reading. Show the author you appreciate their work!